

# ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III.

Niedziela 9 września 1934 r.

Nr. 37

Przemysław Mączewski

## Polski Werther

Liczbę studjów z zakresu historii naszej literatury pomnożyła p. Marja Danilewiczowa gruntowną i zajmującą rozprawą o Tymonie Zaborowskim<sup>\*)</sup>, który ongi, jako przedstawiciel szczerzego grona „poetów podolskich” (Rajmund Korsak, Gosławski, Starzyński) przesadnie, na równi z Mickiewiczem wielbiony, uległ w krótkim czasie niemal zupełnemu zapomnieniu.

A jednak już samo życie Zaborowskiego, którego współcześni nazwali „polskim Wertherem”, miało w sobie tyle momentów dramatycznych, że mogło być tematem do bardzo interesującej, romantycznej powieści.

W biografii poety były dotkliwe luki. Wypełniła je umiejętnie p. Danilewiczowa obfitym materiałem. Dotarła szczęśliwie do korespondencji Zaborowskiego z przyjacielem, Florjanem Łaszowskim, niejedynemu ciekawemu przyczynkowi do życiorysu znalazła w archiwum hr. Szeptyckich w Przylbicach, w Ossolineum i bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Mamy więc dzisiaj już wcale dokładne wiadomości o latach szkolnych poety w Krzemieńcu, o jego krótkiej działalności literacko-wydawniczej w Warszawie i o najważniejszej epoce życia po powrocie do rodzinnych Liczkowic, na galicyjskim Podolu. Tutaj talent poetycki Zaborowskiego po niezbyt szczęśliwych próbach w rodzaju epickim i dramatycznym, rozwinął się i zabył w „Dumach Podolskich”.

Równocześnie przeżywał Zaborowski tragedię dwukrotnej, nieszczęśliwej miłości. Z uczucia do Anny Czechowiczowej (Aizyry) uległ go: niemożność kochanki, perswazja przyjaciół i praca literacka. Lecząc następną miłość, również do mężatki, Laury z Siemianowskich Zabielskiej z Horodnicy, najbliższego sąsiedztwa Liczkowic — złała mu życie.

Laura straciła matkę, jako 11-letnia dziewczynka. Ojciec, egoista i despot, budził w niej tylko uczucie bojaźni. Gdyby nie stara kłuznica, która wychowywała Laurę według wskazówek nieboszczki matki i opowiadała jej o Kościusce, Kilińskim i rzezi Pragi — dziecko wyrosłoby na szczeniaka, a nie na młodą, beznamiętną lalek. Kiedy miała lat szesnaście, ojciec zmusił ją do poślubienia swego przyjaciela, hr. Zabielskiego, który zżakował się na duży posag Laury. Rażąca różnica wieku, brak miłości i wzajemnego zrozumienia — nie rokowały szczęścia temu małżeństwu. Laura poznała w r. 1819 młodego, przystojnego Tymona Zaborowskiego. Na całym Podolu rozbrzmiewała już jego poetycka sława. Z obopólnej sympatii zrodziła się miłość. Kochanek „każdego ranka przyjeżdżał do Horodnicy z równaniami kwiatów i kładł ją na sztachetach ogrodu Laury. Ona nosiła te kwiaty przez cały dzień na sercu i odcisnęła wieczorem na wskazane miejsce przy sztachetach, gdzie Tymon je późnym wieczorem zabierał”.

Tajemnica miłości nie dała się jednak ukryć. Na rozwód nie chcieli się zgodzić ani rodzice Tymona, ani małżonka. Poeta zapadł w stan ciężkiego rozstroju nerwowego. Wtedy Laura, pragnąc go ratować, podsunęła mu przyjaciółkę swą, Marię Schaft i namówiła, by ją poślubił. Zaborowski miał się podobno zareczyć z Marią, lecz to nie stłumiło miłości do Zabielskiej. Zrozpaczony utopił się 28 marca 1828 r. w Zbruczu.

Miłość Zaborowskiego do Laury, opisana przed laty przez Felcję Boberską, zbadała autorka omawianej rozprawy, na podstawie nowych dokumentów, nieje-

den szczegóły zwertowała i wyjaśniła stosunki rodzinne poety. Ojciec Tymona nie odgrywał w życiu domowym poważniejszej roli. Pierwszą osobą była matka, z domu hrabianka Szeptycka, kobieta rozumna i światła, lecz despotyczna i surowa. Nieraz dawała odczuć dotkliwie mężowi i synowi, że ona jest właściwie panią Liczkowic, które wniosła w posagu, i że jej wola o wszystkim decyduje. Planem połączenia się Tymona z Laurą sprzeciwiła się stanowczo. Nieszczęśliwy poeta, chociaż miał już lat 29, nie śmiał walczyć z matką. Na kilka tygodni przed zgonem uciekł z domu. „Śród tej zimy, nie zważając na gęste strzaże kordonów rosyjskich, na zalamanie lodów na Zbruczu i opór żandarmów — dążył na Wołyn, szukając opieki i pomocy u wuja, pułkownika Szeptyckiego, przeciwko rodzicom, za-

ślepiącym w złości i dumie. Odziany futrem, obmarzłem przy dwudziestu kilkstopniowym mrozie, z przesiąkniętymi skórkami wilgocią śniegową, trzymając w prawicy łagą prawie sążnistą, toporem żelaznym zakończoną — wkroczył bez zapowiedzenia się swego w podwoje pysznego gmachu... Lecząc wuja nie zastał. Wrócił więc do Liczkowic i tam popełnił samobójstwo”.

Taką relację o ostatnich dniach nieszczęśliwego poety pozostawił jeden z jego przyjaciół.

Czy Zaborowski istotnie dobrowlnie rozstał się z życiem? Wprawdzie w jednym z jego nekrologów podano wiadomość, że tknięty na przechadzce atakiem sercowym, niechcący wpadł do Zbrucza i utonął, lecz wszystkie inne wspomnienia pośmiertne mówią najwyraźniej o samobójstwie. W kilkadziesiąt lat po zgo-

nie poety Kantecki ogłosił w „Gazecie Lwowskiej” (1875) rzekomo na podstawie opowiadań współczesnych, że Zaborowski „zakochany w zamejnej sąsiadce, miał z nią nawiązać poufalszy stosunek. Wtedy mąż zazdrosny, jak Otello, umyślił pozbyć się rywala. Nasadzony przezeń wierny i od ślepego posłuszeństwa nawykły kozak zaszedł drogę Tymonowi, wracającemu brzegiem Zbrucza ze schadzki z ukochaną, a pochwyciwszy w żyłaste dłonie, zanurzył mu głowę w wodzie i trzymał tak długo, dopóki nieszczęśliwy nie wydał ostatniego tchnienia”.

Wersję tę, przypominającą tragiczną śmierć Gertrudy Komorowskiej pani Danilewiczowa odrzuca. Zdaniem jej na samobójstwo poety złożyły się oprócz zawodu w miłości jeszcze inne przyczyny: wrodzony pesymistyczny pogląd na świat i ludzi, lektura

„Dziadów”, „Nowej Heloizy” i „Werthera” oraz brak wiary w wartość własnych utworów literackich.

W listach do Łaszowskiego przechował się doskonały portret duchowy poety. W poglądach filozoficznych i religijnych widoczny wpływ racjonalistów wieku oświecenia, lecz równocześnie silne akcenty uczuciowe i uniesienia liryczne. Wolter i Rousseau byli ulubionymi autorami Zaborowskiego już na ławie szkolnej.

W twórczości jego literackiej uwidatnia się stosunkowo przez czas długi zależność od obowiązujących wówczas klasycznych wzorów. Pocmat heroikomiczny: „Klub piśmienniczy”, nieskończona epopeja bohatera o zdobyciu Kijowa przez Bolesława Chrobrego, wierszowana poetka p. t. „Parnas we śnie”, rozmowy estetyczne, ogłaszane w „Ćwiczeniach

Naukowych”, wreszcie kilka fragmentów dramatycznych — wszystko to technicznie jeszcze prawowier-nym duchem klasycznym, jak przy-stało na pilnego ucznia Liceum Krzemienieckiego. Lecząc usposobie-nie uczuciowe, bujna imaginacja i szczególne warunki życia, skłaniały go w stronę romantyzmu. Gdyby się był zetknął bliżej z pi-sarzami tego kierunku i żył dłużej, popłynąłby niezawodnie na ich fal. Pierwszymi tomikami Mickiewicza zachwycił się i w tra-gicznych losach Gustawa z „Dziadów” widział jakby obraz własnej, nieszczęśliwej miłości.

Wobec własnych poezji był surowym sędzią, toteż większość ich zalegała w rękopisach. Talent Zaborowskiego nie dorównywał przez czas długi jego ambicjom; rozwijał się powoli, obrawszy ciężki tor klasycyzmu. Gdziekolwiek jednak próbował nowych dróg, gdzie choćby nieśmiało ulegał szczeremu, naturalnym podnie-tom uczucia i wyobraźni — wyja-sniał się i mętniał.

W ostatnich latach życia zaczął Zaborowski pisać „Dumy Podolskie”. Wiersze to niemal zupełnie z klasycznego szablonu wy-zwolone, dorównywały wysokim tonem patriotycznym „Śpiewom historycznym” Niemcewicza. Były jednak od nich gorętsze; skła-ł uczucia dosięgały już poziomu poezji romantycznej. Niestety „Dumy Podolskie” były śpiewem łabędzim Zaborowskiego.

W tych czternastu pieśniach uwidatnił się bodaj najsilniej znamieny rys jego twórczości: ukochanie ziemi rodzimej. Znał Lwów i Warszawę, najuilsze wspomnienia łączyły go z Krzemieńcem, lecz najlepiej czuł się w Liczkowcach, w uroczym zakątku galicyjskiego Podola — „w ciemnym Miodoborze, kędy gór i skał pasma Zbrucza gwałtowny porze”. Grzbietem malowniczych wzgórz miodoborskich prowadziła ocieniona sędziwemi dębami droga, zwana szlakiem tatarskim. Mnóstwo pieśni i podań z nią się wiązało. Obok liczkowskiego dworu wznosiły się mury starego zamczyska, a nieco dalej góra Bohut. Dawna legenda głosiła, że u jej stóp nad Zbruczem było niegdyś piękne bogate miasto, zburzone przez dzikiego wodza Tatarów. Wojownik ten nazywał się Buniak Sze-łudny i miał taką siłę wzroku, że na co tylko spojrzal — zamie-niał się w glaz lub wpadało pod ziemię. Za Bohutem drugie, święte wzgórze słowiańskie, Kruhla Hirka, ze śladami pogańskiego, kamiennego ołtarza. W okolicy Liczkowic wyrzynano skorupy popielnic, szable tureckie i za-sniędziałe rzymskie monety. Wszak niedaleko stamtąd ciągnął się sławny „Wal Trajana”. Gdziekolwiek się obrócił, płynął z tych wzgórz i jarów tajemniczy pogłos wielkich wypadków dziejowych.

W stosunku Zaborowskiego do Liczkowic, Zbrucza, Miodoboru i całego Podola, które prze-jechał wszędy i wzdłuż, był sen-tyment niezwykle w ówczesnym pokoleniu. W umiłowaniu ziemi rodzimej, w głębokim poczuciu organicznego związku z gruntem, jego tradycją i przyrodą nie było wówczas bodaj nikogo, czy to wśród podolskich, czy nawet u-kraińskich lub litewskich, poe-tów, którzy mu dorównali. Mianu-jąc się „wieszczem Miodoboru”, uważał uroczysty zakątek nad Zbruczem za kolebkę prastarąj tradycji słowiańskiej, powołaną jeszcze do odegrania w przysz-łości ważnej roli dziejowej. W tym słowiańskim instynkcie poety by-ło jakby utajone przeczuć do-niosłego odkrycia, jakiego doko-nano na jego ukochanej rodzin-nej ziemi. W siedemnastym lat po zgonie Zaborowskiego znaleziono na dnie Zbrucza, w pobliżu legen-darnego Bohutu, słynny posąg boga Słowian — Światowida.

Adolf Nowaczyński

## Banda Gelpbanda

Pierwszego już dnia na Zjeździe Sowieckich Literatów w Moskwie wygłosił stary Gorkij w „Kolumnowej Sali” mowę programową, rugającą kapitalizm i Europę, w której to mowie był także dłuższy ustęp ordynarnie bluźnierczy, napiętnowany przez korespondenta „Kuryera Warszawskiego” (Aryjezyka), a zatajony przez tajemniczego Ilakki-beja (?) w jego długiej relacji dla „Kuryera Porannego”.

„Izwiestja” dały z tego kongresu doskonałą karykaturę Jefimowa (naśladowca genewskiego Duri), w której sprezentowany jest wielki Gorkij w otoczeniu tych arezantów mało znanych znakomitości o takich nazwiskach, jak: Marsak, Judin, Stawski, Kirpofin, Kirson. Na samym froncie dość groźne typy mozaiczne, wśród nich „nasz”, „Radek” (Sobelson). Innych jęwejew, którzy tam grali wielką rolę, jak Bergelson, Babieli, „nasz” Zyssman („Ja sieński”), i t. p. niema. Niema również Emiljana Gelpbanda „Jarosławskiego”, któremu zjazd literatów urządził pono spontaniczną owację, jak również owację owącej niedoszłej wielkorządcy polskiej republiki radzieckiej, zabawnego rewolucjonera kawiarnianego, Feliksa Koh-na.

Owacja kongresu dla Gelpbanda („Jarosławskiego”) jest bardzo znamieną. Cały zlot był zaaranżowany w tym celu, aby zyskać dla Sowieców sympatię i protekcję jak największej ilości literatów europejskich, propulezy-ków marksizmu i komunizmu, którzy w krytycznym momencie wojennym dostaliby dyrektywę obra-biania i ugniatania opinii Jewro-py w sensie piosienki na Japonię a apoteozowania miodem i głodem płynących Republik Radzieckich. Olbrzymią owację dla niedoszłego generalnego komisarza Polisy F. Kohna urządzono pod adresem Warszawy, jako p. jacielskie o-strzeżenie... Owację zaś dla Emil-jana Gelpbanda, jako hołd dla jego owocnej działalności od lat szesnaście. Dlatego tak oklaskiwa-li go Bergelson i Sobelson, Zyssman, Stande, i stu innych pi-satieli tej samej maści (40 proc. na zjeździe).

Czego dokazał i dokonał do-tychczas „Jarosławskiej”, przy-pominać nie trzeba, rzecz to wiado-ma. Szef akcji bezbożniczej i antyreligijnej w Sowieciach. Ak-cja ta zaczęła się już w r. 1917-tych. Do roku 1928 wymordował komunikacji: 31 biskupów i 1500 duchownych wyznań chrześcijań-skich. Stwierdzono to statystycz-nie w całym z... dzieł w róż-nych językach, bez żadnych za-

przeceń ze strony Kremla. Pod Paryżem w kaplicy w Saint-Ge-nerieve de Bois jest tablica z wy-szczególnieniem tych cyfr i dai-szych: 6.575 nauczycieli, 6.800 le-karzy, 19.850 urzędników, 54.850 oficerów, 320.000 obywateli ziem-skich (szlachta), 815.000 chłopów i żołnierzy. Przypomni to świę-tu nawet „Matin” paryski. Oto są Gruelgeschichten i Gruel-propaganda, teraz jako całkiem wrosta Ewropejczykom z pamięci.

Co wycierpiał katolicyzm od GPU i czczeniowych sadystów, zwyrodniałców, okrutników, od to-tychż komenderujących Chif-czykami i żydów, komenderują-cych Słowianami, to rzecz znana. Rozstrzelanie księdza Butkiewicza jakoś wszystkim u nas wyszło z pamięci, jak również kalwaria księdza biskupa Maleckiego. Bohaterstwo i męczeństwo księdza arcybiskupa Cieplaka w wyzer-pującej monografii uwiecznił ksiądz Rutkowski. Ale to Gru-ele nie cieszą się żadną propa-gandą. O każdym przepe-dzonym z Niemiec wczoraj gieł-dziarzu, lichwiarzu, lekarzu cho-rób wenerycznych i adwokatów hotelarzy wenerycznych, pisze ca-ła „Welt presse” i warszawski kornie za nią. O okrucieństwach zaś i rzeziach, o masowych egze-kucjach i torturach, urządzanych przez chińskich specjalistów z Cze-ki Ewropejczykom jakoś wszy-scy i prędko i łatwo zapomnieli; Herr Jot i Herr Cot pierwsi.

Przypomniła im może o tem Wy-stawa w Paryżu, jaką niedawno wobec mało ciekawych i zwiedza-jących zamknięto przy rue d'Ar-tois 16, gdzie Liga do walki z bez-bożnictwem (idącym z Eurazji) sprezentowała ekspozycję, ilustru-jącą sowiecką walkę Antychrysta z Chrystyanizmem. Zebrano moc afiszów, plakatów, transparent-ów, karykatur bluźnierczych i plugawiających przedewszystkiem chrześcijaństwo. Ponieważ Lenin autos cła, że „zwalczanie religii jest a b c wszelkiej akcji Markowskiej”, więc w Sowieciach

wypełniono przedewszystkiem te punkty z jego testamentu i to przedewszystkiem przez ludzi z rasy Starego Testamentu z Gelpbandem i Kalibanowiczem (sic!) na czele; Kalibanowicz bowiem jest prawą ręką Gelpbanda. Ze przytem jednak oszczędzono co-nieco bóżnie i synagog, to stwier-dza autorytawnie w świeżutko wydanej po polsku książce pod chytrym tytułem „Zmierzch Ży-dostwa”, komunista Heller. Na stronie 318-tej czytamy:

„Bądźco bądź istnieje jeszcze w Odesie sporo bóżnie”.

A z pobytu w mieście Kutaisie Heller pisze:

„Teraz mieszka więc w nowych pięknych domach a spalona syna-goga, rzecz w Związku Radzieckim bądź co bądź zdumiewająca, rów-nież odbudowano, żydzi otrzymali nawet od Sowietu Miejskiego oczy-wiście w drodze kupna materiał bu-dowlany”.

Dosłownie: Otto Heller (wy-dał Fruchtmann). Natomiast kościoły i cerkwie już ostatnie zamyka się i otwiera z powrotem jako kluby partyjne, sale me-etingowe i stołówki. Do 1-wszego maja r. 1937, wedle dekretu Gru-zina na stoleu Groźnego, „tery-torium Unji Sowieckiej ma być uwolnione od wszelkiego Boga” (małą litera). Wyobrażenie Bo-ga, które jako pojęcie średnio-wieczne dostarczało sposobności do ucisku robotników, winno być wygnane z granic terytorium Z. S. R. R.”.

W r. 1937 kończy się piatilet-ka bezbożnicza, przeprowadzana systematycznie i solidnie przez Gelpbanda z bandy Kalibanowicz-ów. To też propaganda antyre-ligijna wbrew kłamstwu Welt-prasy, nie tylko się wzmogła, ale nawet rozszerzyła. Zreformowa-ne G. P. U. obecnie omal wyłącz-nie zajmując się tropieniem reli-giantów w katakumbach” i w piwnicach. Jak stwierdzili zgod-nie korespondenci „United-Press” i wychrzonego „Berli-ner Tageblattu”, do czynienia ma bardzo wiele. Już z okazji Świąt

## Niedzielnny numer ABC

zawiera zawsze 14 stron druku

w tem dodatek literacki, dodatek powieściowy, dodatek radjowy oraz dodatek mody kobiecej

i kosztuje tylko 15 groszy, jest przeto w stosunku do swej treści i objętości najtańszem wyda-niem niedzielnym dziennika w Polsce.

Swego czasu wyprosił sobie taką propagandę także wódz na-czelny, Woroszyłow, niedopuszcza-jąc do „akcji bezbożniczej” w ar-mji sowieckiej.

Toteż moskiewskie jęweje nienawidzą „Klima” obłędnie. Podejrzewają w nim, czy też przeczuwają człowieka przysz-łości, ale, całkiem innej, odmiennej przyszłości.

Miał kilka „powiedzeń” takich, których mu nie zapomną do gro-bowej deski... Oby nie jego de-ski!...